

12 | Gorące rozmowy

DAVID GILMOUR



JUŻ JUTRO | 11 SIERPNI
Jakim cudem on tak dobrze jeździ?
Rozmowa z Robertem Kubicą

O Rogerze Watersie i Zbigniewie Preisnerze. O demokratycznym socjalizmie i kłopotliwych bliźniakach. Z Davidem Gilmourem rozmawia

Jacek Cieślak

To, co mogę robić solo

W: To niesamowity zbieg okoliczności – dzień przed pana koncertem w Gdańsku, w Poznaniu odbędzie się światowa prapremiera opery „Ca Ira” Rogera Watersa. Zgodził się pan na jeden wspólny koncert podczas Live 8, ale później nie chciał występować razem z nim pod szyldem Pink Floyd. Tymczasem w Polsce będziecie niemal na wyciągnięcie ręki. Co pan na to?

Słyszałem o premierze opery. Wiem też, że została przełożona z lipca na sierpień. Nie mogę tego zrozumieć.

Już pojawiły się pogłoski o spotkaniu dwóch najważniejszych floydów w Polsce. Mhm... Bez komentarza.

Nudzą pana pytania o to, kiedy Pink Floyd grać będzie z panem i Rogerem Watersem w składzie? Bardzo. To naprawdę nie jest sprawa, którą teraz rozważam. Oczywiście doskonale rozumiem fanów, dla których jest to ważna kwestia, ale proszę mi wierzyć – nie dla mnie. Teraz cieszy mnie to, co mogę robić solo.

Kiedy dwa miesiące temu rozmawiałem z Rogerem Watersem, byłem zaskoczony tym, jak skromnym i miłym stał się człowiekiem, nie było w nim cienia pychy z lat 80., kiedy powiedział „Pink Floyd to ja” i chciał wam odebrać prawo do używania nazwy zespołu. Jak pan myśli, co go tak zmieniło? Naprawdę nie wiem. Szanowałem go przez tyle lat, kiedy byliśmy razem w grupie. Potem zdarzyły się sprawy, o których pan wspominał. A co on panu powiedział?

Że przestał myśleć tylko o sobie.

nych, być pokojowo nastawiony do ludzi. To dobra wiadomość, że zmienił swój stosunek do świata, bo nie był człowiekiem pokoju. Myślę też, że dał znakomitą wskazówkę nam wszystkim. Warto wziąć ją sobie do serca.

Czy decydując się na wspólny występ z Watersem podczas zeszłorocznego koncertu Live 8, wybrał pan wszystkie grzechy z lat 80.?

Roger popełnił kilka poważnych grzechów. Naprawdę trudno powiedzieć, czy do końca mu je wybaczyłem. Bo kiedy robiłem obrachunek dawnych lat, wydawało mi się, że tak – że mam te problemy już za sobą. Sercu jednak trudniej wybaczyć, to zajmuje więcej czasu. Nie chcę niczego udawać. To wszystko jest bardzo skomplikowane. Spotkałem się z Rogerem, rozmawialiśmy, zjedliśmy obiad. Było miło. Nie jesteśmy już wrogami. Ale proszę mi wierzyć, w przeszłości robił dziwne rzeczy.

Zdecydował się pan tylko na kilka koncertów latem, m.in. we Florencji i w Wenecji. Ten zaplanowany w Stoczni Gdańskiej dla nas będzie jednak wyjątkowy. A jakie ma dla pana znaczenie?

Naprawdę nie mogę się doczekać wizyty w Gdańsku. Zdaję sobie doskonale sprawę, jak ważne wydarzenia miały tam miejsce i jak wielkim przełomem było dla Polaków do-

świadczenie „Solidarności”. Nie mam takiej wiedzy na ten temat jak wy, ale wartości, które wiążą się z gdańskim strajkiem, są mi bliskie. Politycznym ideałem jest dla mnie zakorzeniony głęboko w demokracji socjalizm. Oczywiście dziś pojęcie to ma wiele różnych znaczeń, ale z tego, co wiem, najlepsze socjalistyczne tradycje były ważne także dla uczestników protestu w Stoczni. Myślę, że demokratyczny socjalizm wciąż jest atrakcyjną propozycją dla świata. Ale obecny czas nie jest chyba w Polsce najlepszy dla takiego myślenia. Macie przecież teraz swoich braci bliźniaków. Kłopotliwych bliźniaków, jak się o nich mówi w naszych mediach.

Do pracy nad najnowszą płytą zaprosił pan Zbigniewa Preisnera. Dlaczego właśnie jego?

Wcześniej orkiestracjami nagrał zespół Pink Floyd oraz moich zajmował się Michael Kamen. Po jego śmierci musiałem znaleźć osobę, która napisałaby partię dla orkiestry. Na szczęście, dzięki wspaniałym filmom Krzysztofa Kieślowskiego, poznałem muzykę Zbigniewa. To było wiele lat temu. Wtedy też doszło do pierwszego spotkania, które zaaranżowali moi znajomi. Pamiętałem o Preisnerze i jego muzyce, było tylko kwestią czasu, a także znalezienia odpowiedniej okazji, byśmy mogli zrobić coś razem. Kiedy rozpoczęliśmy pracę do albumu „On an Island” na prosty za-

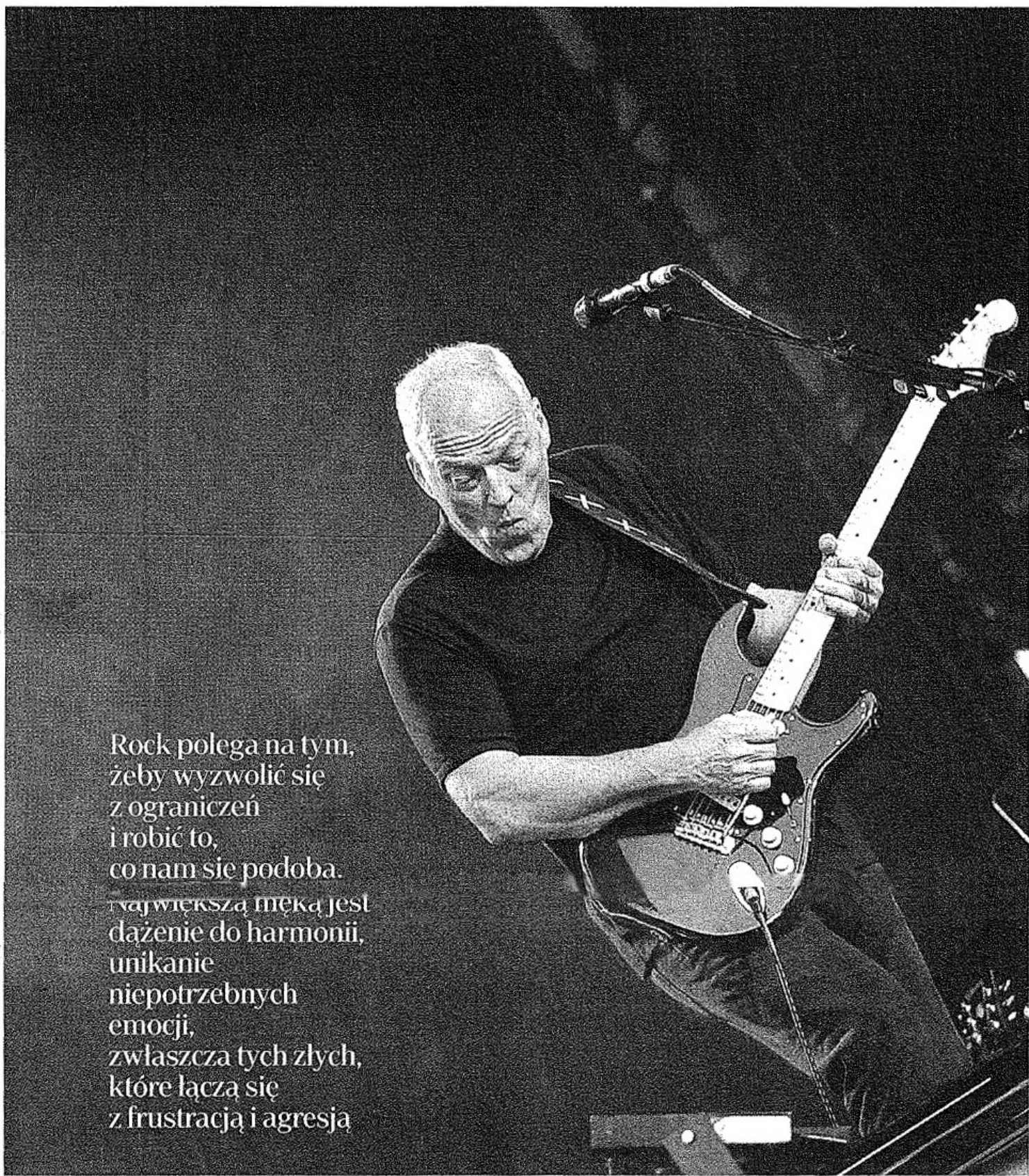
pytałem, czy nie przyjechałby do mojego studia. To, co zrobił, jest fantastyczne. W sierpniu zobaczymy się ponownie w Gdańsku, gdzie będzie dyrygował orkiestrą. To wielki artysta.

Będziemy mogli też podziwiać u pana boku pianistę Pink Floydów Ricka Wrighta. Czy spotkanie się panowie tylko na scenie, czy utrzymujecie kontakty także prywatnie?

Znamy się od 1968 r., kiedy zaczynałem grać w grupie. Mogę powiedzieć, że przez większość tych lat byliśmy przyjaciółmi. Prawie trzy dekady wspólnego grania wytworzyły między nami nierozzerwalną muzyczną wspólnotę. Kiedy przystępuję do komponowania, zawsze myślę o Ricku i zapraszam go do studia. Nie stawia za każdym razem na swoim, nie walczę o każdy szczegół. Imponuje mi wielką muzyczną duszą. To znakomity kompan także po pracy. Miło nam się spędza razem czas.

Perkusista Nick Mason opowiadał mi, jak sugerując poprawki do jego wspomnień o zespole, podkreślał pan, że brzmienie organów i syntezatorów Wrighta było fundamentem muzyki Pink Floydów.

Bo w książce brakowało podkreślenia roli Ricka. Ale przecież od czasu, gdy trafiłem do zespołu, równie ważny był mój głos i gitara, a nie gra Ricka Wrighta, Nicka Masona



Rock polega na tym, żeby wyzwolić się z ograniczeń i robić to, co nam się podoba. Największą męką jest dążenie do harmonii, unikanie niepotrzebnych emocji, zwłaszcza tych złych, które łączą się z frustracją i agresją

czy Rogera Watersa. Nie da się tego rozdzielić. Jestem dumny z naszych dokonań w latach 70. Uważam jednak, że także w latach 80. i 90., już bez Rogera, stworzyliśmy wspaniałą muzykę. Wszyscy byliśmy zaangażowani w jej powstanie.

Syd Barrett, współzałożyciel zespołu Pink Floyd, zmarł niedawno po długiej chorobie. Wykonuje pan obecnie na koncertach jego kompozycje i dedykowane mu „Shine on You Crazy Diamond”. Jaki był? Śpiewam piosenki Syda, bo tylko w ten sposób mogę dziś oddać mu hold i podzielić się swoimi emocjami. Jego choroba to smutna historia. Był poetą, założycielem Pink Floydów, współtworzył brzmienie grupy. Jego wpływ na mnie i pozostałych muzyków kolegów jest tematem sporów naszych fanów do dziś...

Pewnie niezręcznie panu w obecnej sytuacji to powiedzieć, ale po odejściu Syda Barretta Pink Floydzi stali się zupełnie innym zespołem.

Właśnie tak myślę. Nie mogę jednak zapomnieć chwili, które spędziłem razem, kiedy byłem jeszcze nastolatkiem. Wszyscy zawdzięczamy mu wiele.

Zawsze podkreślał pan swoje bluesowe inspiracje, czy właśnie one wpłynęły na zmianę muzyki zespołu, gdy zastąpił pan Syda Barretta, któremu najbliższa była muzyka psychodeliczna?

Syd był bardzo wszechstronny, otwarty na wszystkie muzyczne gatunki, myślę, że różnił nas przede wszystkim styl gry na gitarze.

Pana najnowszy album „On an Island” jest jak muzyczna pocztówka

z rajku, w którym żyje pan z ukochną żoną Polly Samson, współautorką piosenek, oraz dziećmi. Czy rzeczywiście jest pan aż w tak niebiańskim nastroju?

Rzeczywiście dom, który udało nam się stworzyć, jest bardzo spokojnym miejscem, podobnie jak cumująca na Tamizie łódź Astoria ze studiem, gdzie powstał album. Cieszę się rodziną, muzyką, wiodę spokojne, szczęśliwe życie. Na płycie poza piosenkami o szczęściu i pięknie życia, znalazło się jednak także kilka motywów o ciemnej stronie naszej egzystencji. Być może nie są na pierwszym planie, ale zawarłem je w muzyce, można je odnaleźć między wierszami. Zastanawiam się jak wychować dzieci, żyjąc we współczesnym, zwirowanym świecie, w którym łatwo zblądzić, a wojnom nie ma końca.

Rzadko się zdarza, by wielka rockowa gwiazda pisała piosenki ze swoją żoną. Jak to wygląda w pana przypadku?

Razem napisaliśmy dwie piosenki, cztery Polly stworzyła bez mojego udziału, resztę skomponowałem sam. Polly zazwyczaj stara się rozkodać znaczenia muzyki, którą stworzyłem. Jest moim pierwszym recenzentem, ale początek zawsze należy do mnie. Ona włącza się na późniejszym etapie pracy i pomaga osiągnąć ostateczny kształt.

Piosenki brzmią tak jednoznacznie, że muszą zapytać, czy pana żona jest aniołem?

Jest wspaniałą osobą, ale aniołem raczej nie. I tak jest dobrze – Kochać i walczyć z nią. Nie zawsze jest nam lekko ze sobą, ale tylko taki związek może być intrygujący.

Ciesz się pan opinią niezwykle spokojnego rockmana, a przecież takie połączenie uważa się za sprzeczność. Czy typowo rockandrolowy sposób życia był dla pana zbyt męczący?

Nie ma nic przyjemniejszego! Przecież rock polega na tym, żeby wyzwolić się z ograniczeń i robić to, co nam się podoba. Największą męką jest dążenie do harmonii, unikanie niepotrzebnych emocji, zwłaszcza tych złych, które łączą się z frustracją i agresją. Przychodzi jednak czas, kiedy trzeba za to zapłacić. Kończą się iluzje i zaczyna się ciężka praca nas sobą – i to jest dopiero ciężkie życie. Na szczęście niepozbawione sensu i głębokiego smaku. Przychodzi z wiekiem. Walczyłem o to całe moje życie. Chcę, żeby wszystko układało się jak najlepiej, ale pamiętam, że nic nie jest wieczne, a zbyt nie przejmowanie się egzystencją, to najgorszy sposób na osiąganie szczęścia i równowagi. Potrzebny jest dystans, nauczyłem się go dzięki Zen.

Jak się pan czuł przez ostatnie 30 lat w rockowym świecie, który nie jest najlepszym miejscem do szukania harmonii?

Powiem szczerze, że nie miałem wielkiego wyboru. Zmieniać się nie miałem ochoty, a jedyną rzeczą interesującą mnie w życiu była muzyka. Myślę, że wielką pasją może przesłonić pewne niedogodności związane z życiem na scenie. Zawsze starałem się, by muzyka nie była tylko sposobem na łatwą rozrywkę. Musiała poruszać mnie i innych, być ważnym życiowym doświadczeniem, które poszerza nasze horyzonty i przynosi refleksję. Myślę, że właśnie to wyróżniało kompozycje nagrane przeze mnie z Pink Floyd i solo na tle innych rockowych produkcji. Nie chciałem, by moje muzyczne życie przypominało sobotnią zabawę. Rzeczy łatwe zawsze mnie odrzucały.

W „Take a Breath” śpiewa pan, że kiedy jest się na dnie, można odnaleźć siebie. Pamięta pan takie chwile w swoim życiu?

Te słowa napisała Polly, przywołując własne doświadczenia. W moim życiu zdarzały się podobne momenty, dlatego nie miałem powodu, żeby o nich nie zaśpiewać. Byłem na dnie wiele razy. Z dzisiejszej perspektywy mógłbym powiedzieć, że było to dno dna.

Który moment był najgorszy dla pana?

Nie chcę i na szczęście nie muszę dziś wracać do tych chwil. Nie o to przecież chodzi. To, co chcieliśmy powiedzieć innym ludziom, którzy przeżywają zły czas, jest z perspektywy naszych dawnych i obecnych doświadczeń o wiele ważniejsze. Powtórzę więc: na dnie można odnaleźć siebie, zacząć nowe życie. Nam się udało.



David Gilmour
Nick Mason
Richard Wright
Pink Floyd w 1989 roku

Nikt nie wie, czy zespół jeszcze istnieje. Po wspólnym występie podczas ubiegłorocznego Live 8 David Gilmour zdecydował się koncertować solo, choć w towarzystwie Ricka Wrighta. Nick Mason zagrał u boku Rogera Watersa, byłego lidera zespołu, który prezentował „The Dark Side of the Moon Live”. Wszyscy czekają, aż Floydzi zagrają we czwórkę

GŁOS I GITARA PINK FLOYD

Najdroższy muzyk świata w kolebce „Solidarności”

David Gilmour (1944) to muzyk, którego jeszcze nigdy nie gościł w Polsce: agenci koncertowi z całego świata podbijają wielomilionowe stawki za trasę Pink Floyd, a zgoda na nią zależy tylko od decyzji bohatera gdańskiego występu. Chodzi o pieniądze znacznie większe od tych, na które mogą liczyć nawet U2 i The Rolling Stones.

Gilmour nie zamierza jednak obecnie występować w towarzystwie wszystkich dawnych kolegów. Wydaje się, że po latach, gdy znajdował się w cieniu Rogera Watersa – musiał znosić jego złośliwości i zniewagi – smakuje rozkosz zwycięstwa. Jego największym sukcesem było wygranie sądowej batalii o prawo do używania nazwy Pink Floyd. Stał się wtedy liderem grupy – trzecim po Barrecie i Watersie. Ale też spoczął na nim obowiązek, któremu na początku trudno było podołać. Waters miał rację – Gilmour komponował wolniej niż on, ale w końcu udało się.

Pod kierunkiem gitarzysty powstały dwa studyjne albumy Floydów „A Momentary Lapse of Reason” i „Division Bell”, odbyły się dwie gigantyczne trasy

koncertowe. Zarówno podczas nich, jak i zeszłorocznego koncertu Live 8, mogliśmy się przekonać, że jest najważniejszym instrumentalistą w zespole – perfekcyjnym gitarzystą, przede wszystkim zaś jego głosem.

Wbrew oczekiwaniom fanów charytatywny koncert w Hyde Parku nie zapoczątkował powrotu supergrupy. Dla Gilmoura była to tylko chwilowa przerwa w nagrywaniu wydanego w tym roku albumu życia „On an Island”. Z motywów i brzmień znanych wcześniej z dorobku Pink Floyd oraz własnych płyt – ułożył nową muzyczną historię – harmonijnego, rodzinnego szczęścia w związku z żoną Polly Samson, dziennikarką i pisarką. Wcześniej nagrał dwa albumy solowe „David Gilmour” i „About Face”.

Grę w Pink Floyd rozpoczął w 1968 r. Współtworzył wszystkie – płytę wszech czasów, czyli „The Dark Side of the Moon” oraz „The Wall” i „Wish You Were Here”. Odkrył talent Kate Bush. Występował gościnnie na płytach Paula McCartneya, Ringo Starra i Eltona Johna.